# ROZMAITOŚCI.

Dnia 18 października, Nr. 42. roku 1845.


## Róża z St. Etienne.

(Dokonczenie.)

Przyszedłszy do siebie, bił się hrabia długo myślami, co ma czynić. Kochał on zanadto Różę, aby się tak obojętnie i bez wahania miał jej wyrzec. Wreszcie po długim namyśle udał się do kościelnego i dobywszy sakiewki spytał go: czy mu za nagrodę 30 dukatów zechce zrobić przysługę?

»Trzydzieści dukatów! — Ach, panie hrabio!" zawołał w uniesieniu biedny kościelny, którego całoroczny dochód zaledwie połowę ofiarowanej mu sumy wynosił. »Rozrządzaj mną podług woli swojej, i całym moim domem, a to nie tylko przez kilka godzin, lecz przez całe tygodnie, miesiące, ile się panu hrabiemu podobać będzie, gdziekolwiek i kiedykolwiek pan hrabia zechcesz. we dnie i w nocy."

»Gdyby nawet lucypera z piekła wydobyć przyszło!" dodał syn kościelnego, chłop silny, barczysty, który właśnie z wojska powrócił i nie mało w swój tytuł byłego gwardzisty ufał.

»Nie — nie;" — odpowiedział Izalguir, odliczając 30 czerwonych złotych na stole — „żądam tylko kilkugodzinnej posługi, i nie będziemy mieć z szatanem do czynienia, lecz trzeba nam będzie grób rozkopać — ów grób, który w tutejszej jest kaplicy."

»Zgoda!" zawołał syn kościelnego, podczas gdy ojciec dopiero po chwili namysłu na to zezwolił. Gdy już wszyscy w jeden zamiar się zgodzili, umówiono schadzkę o 12tej godzinie w nocy, przy drzwiach kaplicy. Hrabia przyrzekł wziąć z sobą swego wiernego kamerdynera Wicentego, a wszyscy czteréj mieli być w rydle i drągi zaopatrzeni. Rozumie się, iż zresztą nikt o tém całém przedsięwzięciu ani słowa nie powinien był wiedzieć.

Po niejakim czasie wskazał zegar zbliżanie się północy. „Jeszcze kilka minut," — rzekł Izalguir do siebie — »a wszystko się wyjaśni." Przed nadejściem stanowczej chwili wezwał boskiej pomocy i błogosławieństwa nieba dla swego przedsięwzięcia. Wszak byłato dobra sprawa, i szło mu tylko o wybawienie biednej cierpiącej kochanki, o przywrócenie jéj spokoju duszy i wiary w nieskończone miłosierdzie boże. Wtém zaczęła bić dwunasta... Izalguir skinął na służącego, który w powstałéj przed chwilą burzy, nieszczęśliwą wróżbę zamierzonego dzieła postrzegać mniemał.

Nim jeszcze ostatnie uderzenie godziny duchów przebrzmiało, otworzył kościelny drzwi do kaplicy, i wszyscy weszli do środka.

Poczciwy Wicenty, który prócz hrabiego sam jeden o celu téj nocnej wyprawy wiedział, wzdrygnął się mimowolnie, słysząc jak tam drzwi kapliczne głucho na zardzewiałych zaparły się wrzeciądzach i zamknęły ich w ciemnej kaplicy, gdzie przy bladawém świetle jedynej lampy, otoczeni wkoło wizerunkami śmierci, mogli sami siebie za błąkających się po nocy duchów uważać.

Izalguir wskazał znajomą płytę i wzięto się natychmiast do pracy. Lecz długo trwało, nim ją zupełnie podważono. Wkońcu jednak poddała się natężonym usiłowaniom.

Gdy płytę podniesiono, zionął z pod niéj wilgotny powiew grobowy. Wicenty zadrżał na całém ciele z trwogi i oczekiwania, gwardzista żartował sobie z jego przestrachu i pragnął w istocie jakiegoś okropnego zjawiska, aby przecież dać dowód swojéj nieustraszonej śmiałości. Jeszcze ostatnich słów nie domówił, gdy tak głośne westchnienie z pod ziemi się ozwało, iż wszyscy — a nawet nasz wojskowy junak, mimo najmocniejsze przedsięwzięcie odwagi — mocno się przelękli. Kościelny krzyknął: „Wszelki duch chwali pana Boga!" i był już u drzwi kaplicy, Wicenty padł na kolana i wzniósł ręce ku niebu, hrabia porwał się do szpady.

Tak nastało mimowolne, nieumówione milczenie, w którém każdy dalszego czekał dziwu. Lecz wkoło było ciągle głucho i cicho; więc znowu do roboty się wzięto.

Już tak z godzinę kopali, i dość głęboko zaszli, gdy naraz żelazne ostrza ich rydlów doznały oporu i o jakiś twardy, odtętniający przedmiot zawadziły.

Spojrzano z zadziwieniem po sobie, i odgarnięto jeszcze trochę ziemi, a tu okazała się im ołowiana trumna.

„Dobrze!” zawołał hrabia. »Wszak tego właśnie szukamy. Teraz tylko nieco więcéj zrobić miejsca po bokach, aby wieko podnieść można.”

»Wieko podnieść?” zapytał Wicenty przerażony. „Och, panie! Chcesz-że..?»

»Uspokój się;” odrzekł hrabia — i wzięto się znowu do pracy.

W téj chwili dał się na dworze jakiś hałas słyszéć, drzwi kaplicy się otworzyły, a kilku służących weszło z pochodniami, za nimi zbrojni ludzie i sam baron de St. Etienne. Cały orszak przeszedł przez kościoł i zbliżył się ku hrabiemu. Hrabia był zmieszany i nie wiedział co mówić, kościelny wymknął się zręcznie zawczasu.

„Mój panie,” — ozwał się baron, spojrzawszy surowo na hrabiego — „takżeto wywdzięczasz mi się za gościnność, któréj w moim domu doznałeś?”

»Kocham twoję córkę panie, i...”— odpowiedział hrabia nieśmiało, gdyż czuł, że niepowołany, mimo wyraźnego zabronienia, wdarł się w najskrytsze tajniki rodziny de St. Etienne.

»Bądź tak grzeczny i udaj się do swojego mieszkania!” rzekł gospodarz domu rozkazującym głosem. „Jutro pomówimy więcéj o tém.”

Izalguir był aż zanadto przekonany, iż wszelki opór pogorszyłby tylko jego samowolne postępowanie, i usłuchał rozkazu swojego spodziewanego teścia. Nazajutrz rano otrzymał list od barona, w którym go proszono, aby jaknajprędzéj z zamku wyjechał. Hrabia mniemając, iż to za urazę wziąć należało, wyzwał najstarszego syna barona na pojedynek, i nieszczęsném zrządzeniem losu zastrzelił brata swojéj kochanki.

W miesiąc późniéj pochowano Różę de St. Etienne w owéj tajemniczéj kaplicy, a jéj narzeczony opuścił na zawsze tamte strony.

Osiadł w jednym ze swoich najodleglejszych zamków, dręczony nieustannie wspomnieniami tak srogo zamordowanéj kochanki. Te wspomnienia zatruły mu wszelkie uciechy świata, zmierziły mu życie i zmieniły go w ponurego odludka.

A przecież te wspomnienia były dlań oraz jedyną przyjemnością życia jego. Spisał sobie całą historyję swojéj miłości i swojego nieszczęścia. Jeden z poufniejszych przyjaciół wymógł na nim, iż mu udzielił bliższych szczegółów Wywiedziawszy się najpotrzebniejszych okoliczności, pożegnał niezwłocznie Izalguira, przyrzekając mu wkrótce przywieźć wyjaśnienie całéj tajemnicy domu barona de St. Etienne. Izalguir spojrzał z posępnym, niedowierzającym uśmiechem za odjeżdżającym przyjacielem, powątpiewając o skutku jego przyrzeczenia.

Pan de Rinot, młody, majętny i pełen gorącéj żądzy odbycia jakiéj przygody, którąby mu sławę w świecie zjednała, pojechał bez zwłoki do Languedoku, pewnym będąc rozwiązania tajemniczéj zagadki.

Już się miało dobrze ku wieczorowi, gdy przybył do majętności barona de St. Etienne. Cała wieś była pusta jakby wymarła, a naszego, przygód szukającego rycérza przejął jakiś niepojęty, trwożny niepokój. Kazał stanąć powozowi, wysiadł, usłyszał jakiś gwar zdala, udał się w tamtę stronę, i ujrzał przy pochodniach idący orszak pogrzebny, a w środku trumnę.

Ten niespodziany widok sprawił niewymowne wrażenie na Edwardzie; domyślił się, iż to był pogrzeb starego barona, co go nie mało zmartwiło, ile że nieboszczyk zabrał z sobą tajemnicę do grobu. Zasmucony tą myślą, stał nieruchomie z boku, wlepiając oczy w zbliżającą się zwolna trumnę. Czarne hebanowe drzewo trumny, kosztowne śrebrne ozdoby i wielka śrebrna herbowa tarcza baronów de St. Etienne, utwierdzały go w powziętym domyśle; — mechanicznie udał się z pogrzebowym orszakiem do kaplicy.

Tymczasem skończył się obrzęd żałobny, orszak rozszedł się w różne strony, a Rinot stał jeszcze ciągle pogrążony w dumaniu i wlepiał oko w ową płytę kamienną z nakréślonym krzyżem. Aż wreszcie przystąpił doń znany nam kapelan zamkowy, i zmierzywszy go zdziwioném wejrzeniem, spytał go: czego żąda?

Edward odrzekł mechanicznie: „Niczego — bynajmniéj; lecz muszę się przyznać, że chociaż rodzina panów de St. Etienne, jakoteż cała okolica są mi nieznane, przecież ten obchód pogrzebowy mocno mię wzruszył. Nieboszczyk był zapewne już bardzo stary?”

„Stary?” powtórzył kapelan z zadziwieniem. »O, ze starości on nie umarł; nie miał więcéj, jak lat dwadzieścia.”

»Lat dwadzieścia!” zawołał Edward żywo, gdyż mógł znowu mniemać, iż stary baron de St. Etienne jeszcze żyje, i że przeto nie znikła jeszcze nadzieja odkrycia tajemnicy. — „Więc byłto zapewne syn starego barona, którego tu dziś pogrzebano?”

„Tak jest, trzeci syn, i ostatni;” — odrzekł kapłan z westchnieniem — „najstarszy zginął w pojedynku z człowiekiem, któryby go był wolał jako brata do serca przycisnąć, niż mu życie odebrać; lecz niezbadane losy inaczéj postanowiły. Drugi poległ w potyczce z Austryjakami, a trzeci, najbardziéj z nich wszystkich lubiony, nieszczęsną pomyłką, zamiast lekarstwa, które lekarz na lekką słabość mu zapisał, zażył — truciznę. Teraz stary, osierocony ojciec pozostał sam jeden, gdyż i córka do grobu go wyprzedziła.”

„Biedny starzec!” rzekł Edward roztargniony, towarzysząc kapłanowi do jego pomieszkania, chociaż go tenże nie zaprosił. Dopiero u progu domu postrzegł Edward swoje natrętność, i zaczął się tłumaczyć, chcąc odejść. Kapłan zapytał go o nazwi-

sko i zaprosiwszy na dzień jutrzejszy na dłuższy czas do siebie, sam się udał do zamku. Lecz nim jeszcze Rinot do gospody powrócił, zabiegł mu drogę kamerdyner barona, prosząc go w imieniu pana na zamek.

Zaproszenie to było mu bardzo pomyślne, ponieważ go mogło na jaki ślad naprowadzić. Przybywszy do zamku, został przez marszałka z grzecznością przyjętym i jaknajhojniéj ugoszczonym, około zaś godziny jedynastéj, przyszedł do niego kapłan, oznajmiając mu, iż będzie nocował w zamku, i może, jeżli chce, z nim spać w jednym pokoju. Edward przystał na to z ochotą, a tak układł się jeden jak drugi w duże staroświeckie łoże gotyckiéj sali zamkowéj, i obaj usnęli około saméj północy.

Kapelan spał twardo i spokojnie, lecz młody Rinot marzył wciąż o pogrzebach i trupach, ujrzał się w duchu w owéj tajemniczéj kaplicy, widział jak spuszczano do grobu trumnę ostatniego potomka rodziny de St. Etienne, widział jak Izalguir marmurową płytę z nakréślonym krzyżem w górę podnosił, słyszał z nim razem owo podziemne westchnienie, uczuł z nim razem dotknięcie owéj zimnéj, grobowéj ręki, i zerwał się nagle z łoża, gdyż w téjże saméj chwili uczuł się rzeczywiście jakąś lodową dłonią dotkniętym — że mu aż z przestrachu włosy na głowie stanęły.

Śpieszno przetarł oczy i spojrzał przytomnie przed siebie — lecz to nie było snu złudzeniem! — Jakaś postać stała naprzeciw niego, a bladawe światło księżyca dozwalało mu tyle rozpoznać, ile było potrzeba, aby mu się w żyłach krew ścięła, a śmiertelny dreszcz całe ciało mu przejął.

W téj chwili pożałował mocno swojego przedsięwzięcia badania grobowych tajemnic, a co tam niegdyś przy szumiącym kielichu, śród wesołéj drużyny, łatwo i rycérsko się przyrzekało, to zaczęło teraz, w okropnéj rzeczywistości, strasznie przerażający przybiérać obrot.

Kilka minut spędził w prawdziwéj śmiertelnéj trwodze, aż wkońcu zaczęła pojawiona postać przemawiać, a bohatér nasz przyszedł ze wstydem do siebie, gdyż piérwsze wymówione słowa przekonały go, iż duch mniemany, nie był kto inny, jak tylko sam baron de St. Etienne.

„Przestraszyłem cię, kapelanie?” rzekł starzec, dziwnie przenikającym głosem. »Żałuję mocno; lecz nie mogę wytrzymać dłużéj w moim sypialnym pokoju, nie mogę, chociażbym rad z duszy się uspokoić. Ach, jakże ci opiszę moję zgrozę, kapelanie! Oto u stóp łoża, stoi jedna, u głowy druga — a obie zarówno srogie i straszne! — Posuń się daléj ku ścianie, i pozwól mi, abym się przy tobie położył; może w ten sposób moja lodem ścięta krew się ogrzeje. O, lituj się — lituj się kapelanie nade mną, jestem bardzo nieszczęśliwy!»

Jakkolwiek nieprzyjemném było to zimne sąsiedztwo starca, chcąc nie chcąc skłonił się Rinot do jego prośby. Baron miał go oczywiście za kapelana, i dobrze że się tak stało, gdyż mogło to być pochopem odkrycia tajemnicy. Pocieszając się więc tą nadzieją, przysunął się Rinot ile możności do ściany, i słuchał z uwagą starca, który przy nim się układł.

»Wyznałem ci, kapelanie, cały mój nieszczęsny los przy spowiedzi. Dochowałeś mi sumiennie tajemnicy. Dzięki ci za to. Teraz uwalniam cię od przysięgi. Opisz moję historyję, jako upomnienie dla następnych pokoleń. Wiész jak z początku kochałem moję żonę, jaśniejącą powabem i cnotą przed wszystkiemi rówieśniczkami płci swojéj. Lecz wiész oraz niestety, że zaślepiony nikczemną namiętnością, dałem się owładnąć owéj niegodziwéj Ludgardzie, która z każdym dniem bliżéj w sieci swoje mię wabiąc, coraz bardziéj przeciw mojéj małżonce mię poduszczała, a wreszcie dla uwieńczenia swojego piekielnego dzieła, do zadania jéj trucizny przywiodła! Ach, zaledwie ten okropny czyn spełniłem, już mię opanowały żal i skrucha, odkryłem jéj moję zbrodnię i śmierć jéj blizką. Ze zgrozą spojrzała na mnie, a potém uklęknąwszy, wyrzekła: „Stało się! Niech się dzieje wola Boża! Pójdę z tego świata, lecz wprzódy wyrażę jedno życzenie, a Bóg nie odmówi téj ostatniéj, najświętszéj prośbie konającego serca. Nie chciałam ja i nie mogłam żyć tu na świecie bez ciebie, nie chcę téż miéć bez ciebie spokoju w grobie. Za karę mojéj zbyt wielkiéj miłości ku tobie, chcę jako cień złowrogi błąkać się w dnie i nocy po ziemi, nie przeszkadzając ci jednak w twoich uciechach i zabawach, i tylko niewidomie krążąc wokoło ciebie. Lecz dzieci moje będę napominała, córkę naszę, Różę, będę przestrzegała, aby w śluby małżeńskie nie wchodziła, gdyż jéj małżonek — zdradziłby ją tylko — jak ty mnie zdradziłeś! Będę nad nią jako jéj duch opiekuńczy czuwać, aby się podnietom miłości uwieść nie dała; a gdy nakoniec sama to uzna, iż prawdziwe szczęście tu na ziemi nigdy dla niéj nie zakwitnie, natenczas zabiorę ją z sobą tam — w inną, lepszą krainę! Ilekroć będę mogła, okażę się jéj, i przyzwyczaję ją do mojego widoku. Lecz rodzina St. Etienne zgaśnie nazawsze, aby wina rodziców, na niewinne potomstwo nie przechodziła. Co zaś do ciebie — obyś mógł być szczęśliwym, ile na ziemi szczęśliwym być można! Obyś zapomniał, jakeś moję niewysłowioną miłość i wierność dla ciebie, srodze wynagrodził! Nie będę cię nigdy niepokoiła, i owszem, będę czuwać nad tobą. Każ mię w kaplicy pochować, a gdy Róża zejdzie z tego świata, złóż ją przy moim boku. To moja ostatnia prośba — żegnam cię.”

Tu baron zamilkł na chwilę, a potém zerwał się nagle i krzyknął: »Niech się dzieje wola nieba!

Żono, idę, idę za tobą!" A rzekłszy to, wyskoczył z młodzieńczą siłą z łoża, postąpił kilka kroków naprzód, i padł martwy na ziemię.

Tuż za nim zerwał się także Rinot, lecz gdy ku leżącemu starcowi się nachylił, znalazł go już bez życia.

Nato zbudził się także kapelan, który niespawszy przez kilka nocy, w głębokim śnie spoczywał, i nie mało się zdziwił, gdy mu Edward całą przygodę opowiedział. Przywołano służbę i złożono trupa na łożu.

„Bądź mu Boże miłościw!" przemówił kapłan z złożonémi do modlitwy rękoma. „Ciężko on tu przewinił, lecz też ciężko cierpiał, a Bóg jest sprawiedliwy."

Teraz przyznał się Rinot kapłanowi, iż jest przyjacielem hrabiego Izalguira i uzyskał od niego pozwolenie, aby obie trumny, pani i panny de St. Etienne otworzono. Obie były nabalsamowane, a Rinot zdziwił się nad podobieństwem między matką i córką, które było tak wielkie, iż ledwie jednę od drugiéj rozróżnić było można.

Poczém pożegnawszy się w głębokiém wzruszeniu z kapelanem, wrócił do swego nieszczęśliwego przyjaciela — lecz piękne, łagodne oblicza spoczywających w kaplicy matki i córki utkwiły na długo w jego pamięci.

---

## Kmieć burmistrzem.

Za czasów dobrego króla Henryka Nawarskiego, w połowie listopada, późnym zmierzchem, przybył cały błotem zbryzgany jeździec do wioski Fau, oglądając się pilnie za jakiémkolwiek miejscem, gdzieby on sam, a jeszcze bardziéj jego znużony koń mógł wypocząć. Lecz darmo szukał wkoło oczyma; cała wioska składała się z kilku lichych lepianek, nie obiecnjących żadnego dogodnego przytułku. W téj potrzebie zwrócił się do jakiegoś staruszka, którego ujrzał wyglądającego z okna, i spytał: jak daleko jeszcze do Montauban?

„Trzeba jeszcze dobrze dwie godzin jechać," — odrzekł staruszek — „gdyż ciągłe słoty popsuły ze szczętem drogę."

„Lecz nie maż tu jakiéj karczmy, szynkowni?" zapytał jeździec powtórnie, widząc z obawą, że noc coraz ciemniéj zapada. „Chętnie zapłacę, byle tylko pod dach się dostać."

„Karczmy tu, panie, nie ma; lud nędzny, sam ledwie wyżyć może."

„Ci przeklęci Guizowie! Przez nichto wszystko tak podupadło. Lecz bądź co bądź, muszę koniecznie jakieś miejsce tu znaleźć, choćbym całą wieś do góry nogami miał przewrócić."

„Ha, jest tu u nas jeden gospodarz, coby pana mógł przyjąć, gdyby zechciał."

„Cóż to znaczy: gdyby zechciał! — *Ventre saint gris!* Mnie musi przyjąć!"

„Nazywa się Signoret."

„Zaprowadź mię do niego."

Słowa te były tak dobitnie wyrzeczone, iż żadnego oporu nie dozwalały. Usłuchał wiec staruszek, a po niejakim czasie stanął nasz jeździec z przewodnikiem przed zagrodą, która lubo wcale skromnie, przecież nierównie zamożniéj od sąsiednich chat wyglądała. Nie tracąc ani chwili, rzucił jeździec talara staruszkowi, zaprowadził konia do stajni, ustawił go tam wygodnie, a potém wszedł do świetlicy, gdzie prosto do gorejącego na kominku ognia przystąpiwszy, obok jakiejś młodéj, nadzwyczajnie widokiem jego przerażonéj niewiasty usiadł.

„Nie bójcie się niczego, moja miła gosposiu, i gotujcie sobie bez przeszkody waszę wieczerzę. Jestem jeden z oficerów króla Nawary; zabłądziłem na polowaniu, i proszę was o gościnność."

Młoda gospodyni, któréj nieznajomy nie przypatrzył się, była istotnie ładna i miła; odrzekła z zarumienieniem coś o nieobecności męża, o nieprzygotowaniu do przyjmowania gości, gdy w tymże czasie nagle drzwi się otworzyły, i wszedł gospodarz.

Byłto mężczyzna mający około 45ciu lat, słusznego wzrostu, snrowego oblicza, na którém jednak wyraz otwartéj szczérości i rozsądku widać było. Postrzegłszy oficera, zatrzymał się na progu, zmierzył go lekceważącym a prawie wzgardliwym wzrokiem, i rzekł:

„Otóż tak się dzieje! Dziś rano wyszedłem z domu jako gospodarz, jak się należy, a wracając wieczorem, zastaję moje miejsce zajęte; na moim stołku, kto inny siedzi, a stół mój, dla kogoś innego nakryty. Posłuchaj mię, mój przyjacielu — nie wzbraniam ja ci schronienia pod moim dachem, gdyż w taką słotę nie wygnałbym nawet celnika na dwór, lecz bardzoby mię cieszyło, gdybyś mi się także zagrzać trochę przy ogniu pozwolił."

„Macie prawo po temu," — odpowiedział oficer — „zwłaszcza gdyście równie jak i ja zmokli."

„No wy macie więcéj prawa odemnie, bo widzę, że się aż woda z was leje." To rzekłszy, zawołał Signoret: „Żónko, bielizny dla nas obu! Jesteśmy obaj tego samego wzrostu, a i kmiece odzienie, jeżli białe i suche, lepsze od pięknych mokrych szat pańskich."

„*Ventre saint gris!* Wielka prawda! Trzeba już było wcześniéj o tém pomyśleć."

Przebrali się więc przy ogrzéwającym kominku; a gdy nasz mniemany oficer króla Nawary wdział na siebie lnianą koszulę, skórzane gamasze i długą kamizolę Signoreta, gdy zasadził na głowę jego duży świąteczny kapelusz z szérokiémi krysami, nie różnili się obaj niczém od siebie, i byłbyś rzekł,

iż się już od dawna znają, gdy tak po przyjacielsku do wieczerzy zasiedli. Była ona obfita i smaczna: oprócz garnka z polewką stały tam jeszcze potrawy z kaczki, z gęsi, a nawet i źwierzyna, która chociaż starannie przykryta, przecież zapachem się zdradzała. Jakoż i Signoret i gość jego, zabrali się gorliwie do jedzenia i długo nic z sobą nie mówili. Gdy sobie już cokolwiek podjedli, a głód pragnieniu ustąpił, podał Signoret swemu gościowi śklankę starego wina i sam też śkankę za jego zdrowie wychylił, a potém rzekł:

„No, i jakże się teraz czujecie?"

„Wyśmienicie, mój przyjacielu."

„A cóż sądzicie o tém?" zapytał Signoret, wskazując na nierozpoczętą jeszcze źwierzynę.

„Sądzę że to także coś niezgorszego być musi."

„Nie o to się pytałem: powiedziałeś mi, iż jesteś myśliwym, powiedzże teraz, co to jest za źwierzyna?"

„To dzik — albo już węchu nie mam."

„Zgadłeś bracie, dzik, i to wyborny, którego dziś po południu nie daleko ztąd ubiłem."

„Dlategoto my nic wytropić nie mogli. Lecz śmiałym jesteś przyjacielu...."

„Tobyś wolał, aby jeszcze po lesie biegał? Nie lepiejże, iż tu przed nami leży?"

„Temu nie przeczę," — odrzekł oficer — „lecz polować w twoim stanie — jest to zawsze rzecz niebezpieczna."

„O, my tu nie żyjemy na ziemi króla Nawary, który za lichą kuropatwę ludzi wieszać każe. Pola i lasy należące do Montauban są wolne, i nie należą do królewszczyzny, i źle by to już było, gdyby poczciwy kmieć, który nikomu nic nie zawinił, nie mógł sobie czasem dzika ubić. Ale skosztujno tego wina."

„Przewyborne, panie Signoret."

„Więc nalejmy sobie jeszcze raz."

I nalewali tak często, że butelka po butelce wysychała, aż wreszcie wino głowę im rozgrzało. Signoret, który w podobnym razie wszystkim „ty" mówił, ponowił dawną rozmowę o królu nawarskim.

„Wstyd ludziom powiedzieć," — ozwał się z uniesieniem — „godziż się to chrześcijanom, zabraniać poczciwemu człowiekowi ubić źwierzę, które mu pan Bóg ześle, a które prócz tego pole mu pustoszy."

„Zapominasz się, mój przyjacielu;" odrzekł oficer.

„Cicho bądź, jeżli chcesz abym był z tobą w zgodzie."

„No, tego już za wiele!" zawołał oficer. „Jażbym nie śmiał bronić mojego króla!"

„Nie powinieneś."

„Cóż mu zarzucić możesz? Może to, że swoich praw przestrzega?"

„Ja mu wiele zarzucić mogę; on lubi grać w karty, jest rozpustnikiem, lata za kobiétami — ale, ale, mój przyjacielu, proszę cię, nie przypatrujże się i ty mojéj tak bardzo, jeżli chcesz pod moim dachem nocować."

„Przestańmy o tém mówić," Signoret; nie mogę słuchać, gdy kto o królu nawarskim źle mówi, i mam słuszne powody po temu."

„Jesteś więc w jego służbie?"

„Tak jest," — odpowie oficer — „zostaję zawsze przy jego boku."

„I jakiż twój urząd?"

„Jestem piérwszym koniuszym."

Signoret spojrzał na wiszące przy kominku suknie z bawoléj skóry, mocno już przeszarzane a nawet gdzieniegdzie podarte, i kiwnął głową wątpliwie.

„Ej, wypij jeszcze śklankę, i powiedz prawdę, kto jesteś."

„Ha, jeżli tego koniecznie żądasz, powiém ci tedy, iż jestem najmożniejszym panem u dworu króla Nawary."

„Powiadają, że wino prawdę gada;" — ozwał się Signoret, niezadowolony z odpowiedzi swojego gościa i ciągle na obdarte suknie poglądając — „no, teraz mię już przecie zwodzić nie będziesz, i powiész raz, kto jesteś?"

„Żebyś nie mówił że cię zwodzę, tedy masz wiedzieć, iż jestem królem Nawary."

„Żonko!" zawołał Signoret. „Sprzątnij butelki; a ty mój poczciwcze, idź spać, bo gdybyś jeszcze śklankę wychylił, mógłbyś wreszcie wiecznym Żydem się nazwać. Dobra noc."

Nadarmo nasz nieznajomy zapewniał, iż jest w istocie królem Henrykiem Nawarskim, że w okolicy Montauban nowe miasto założyć zamyśla, bo im więcéj dowodził i zapewniał, tém bardziéj Signoret śmiał się na całe gardło, gdyż był tego przekonania, że gość jego się upił. Wreszcie zaprowadził go do przeznaczonéj dlań komory i zamknął go tamże dla tém większego bezpieczeństwa.

Nazajutrz rano nie puścił Signoret swego gościa wprzód z domu, aż póki sutego nie zjadł śniadania, poczém pokazywał mu z dumą swoje pola, winnice i kawał lasu. Nieznajomy zdawał się nie pamiętać już wczorajszéj wieczerzy i rozmowy, a ściskając Signoreta serdecznie za rękę, i przypatrując się po raz ostatni poczernionym od dymu ścianom zagrody, w któréj tak uprzejme znalazł przyjęcie, rzekł:

„Bądź zdrów, Signoret; dziękuję ci za twoję uprzejmą gościnność. Jak widzisz, i jak sam bez wstydu wyznać ci mogę, jestem teraz ubogim, i nie mogę ci mojéj wdzięczności czynem okazać. Lecz mam ja krewnego we Francyi, po którym może kiedyś wielkie na mnie spadnie dziedzictwo, a bądź pewny iż nie zapomnę o tobie. Zresztą, jak tylko Bearneńczyk królem Francyi zostanie, zgłoś się bez zwłoki w Luwrze, i pytaj za Henrykiem myśliwym, a nie pożałujesz podróży do Paryża."

* *
*

Po tym wypadku lata upłynęły, a Signoret zapomniał już był zupełnie o swoim gościu, aż nadszedł nareszcie dzień, w którym wrodzone każdemu człowiekowi ziarnko ambicyi i w Signorecie rozwijać się zaczęło. Chciał zostać burmistrzem w Montaubau i ubiegał się o głosy wyborców. Lecz hardzi mieszczanie montaubańscy sądzili, iż nie godzi się, aby kmieć prosty nosił kapelusz burmistrzowski, a wskutek tych podstępów upadł Signoret przy wyborze. To przywiodło mu owego oficera króla Nawary w pamięć. A ponieważ teraz Bearneńczyk wziął górę, a Gaskończykowie panami Luwru byli, przeto wnosił Signoret, iż także jego były przyjaciel jakieś tam znaczenie mieć musi, i łatwo mu do pomszczenia się na kapitule montaubańskiéj dopomódz zdoła. Włożył więc kilka talarów do pasa, ubrał się w swoje skórzane gamasze i powędrował do stolicy. Trudno mu tam było zrazu dopytać się o swego przyjaciela. Lecz poszedłszy do Luwru, i pytając się tam każdéj straży o Henryka myśliwca, spotkał wreszcie jakiegoś staruszka, który go pilnie wysłuchał i zaczekać mu kazał. W istocie też przybiegł po niedługim czasie młody, bogato ustrojony pazik, zdjął z szyderczą powagą swój kapelusz z piórami przed kmieciem, i poprowadził go przez wytworne sale Luwru, napełnione damami, panami, i wpół jeszcze uzbrojoném rycerstwem hugenockiém. Przybywszy u progu gabinetu, polecił paź Signoretowi, aby się tu zatrzymał, a sam odszedł. Signoret był zmieszany; ten przepych, ta królewska wystawność, zamąciły mu trochę głowę; zdało mu się iż to snem wszystko, gdy nagle ujrzał tego przed sobą kogo szukał. Był on znacznie zmieniony, i chociaż bardzo skromnie ubrany, miał przecież imponującą postawę, któraby mocno była zmieszała Signoreta, gdyby mu z łaskawym uśmiechem ręki był nie podał do uściśnienia. Ten dowód niezapomnianej jeszcze przyjaźni, ośmielił cokolwiek wieśniaka, który dopiero teraz zdjął kapelusz i powinszował swemu dawnemu znajomemu téj zmiany w jego okolicznościach.

„A cóż, nie prawdaż że lepiéj od ciebie mieszkam."

»Bez wątpienia;« — odrzekł Signoret — „nie ma tu ani jednego pokoju w tym pałacu, któryby nie przewyższał swoją wartością całéj naszéj wsi Fau."

„Ba! Jeszcześ nie wszystko widział. Spojrzyjno tędy, mój przyjacielu; widzisz tę piękną rzekę Sekwanę i Pont-neuf, widzisz wieżę de Nesle, owe zielone wyspy w pośrodku; widzisz tam zamek Tuileryjów, i spiczaste wieżyczki starożytnego St. Germain, i owe niebotyczne wieże, sterczące z samego środka miasta, jak maszty ogromnego okrętu; widzisz tę niezmierzoną okiem przestrzeń domów i pałaców? — Wszystko to warte tyle, nieprawdaż, co owe pola, lasy i winnice, któreś mi przy pożegnaniu pokazywał? A to wszystko jest własnością owych podartych sukni, które niegdyś przy twoim kominku się suszyły.»

»Któż ty więc jesteś?«

»Henryk IV.»

Signoret rzucił się niemo do nóg królowi, a gdy wreszcie przytomność odzyskał, zaczął się niezgrabnie tłumaczyć, iż się tak poufale z jego królewską mością obchodził.

Henryk IVty bawił się jakiś czas jego prostaczym kłopotem, a wkońcu ozwał się w swoim poufnym sposobie do Signoreta:

„Jak widzę, mój stary przyjacielu, zrobiłeś się bardzo skromnym od owego czasu, gdyśmy razem w Fau wieczerzali. Miałożby to może ztąd pochodzić, żem ja teraz bogatszym? Mówże do licha; wszakżeś mi jeszcze nie powiedział, po coś tu przyszedł."

Signoret wstał powoli, wsparł się na lasce i wynurzył królowi powód swojéj wędrówki do Paryża.

„Ah, ci wielcy panowie montaubańscy" — ozwał się Henryk IVty — „nie chcą dozwolić, aby im chłop burmistrzował; poczekaj, nauczę ja ich skromności."

Nato wziął Henryk IVty pióro i napisał natychmiast list do seneszala. Poczém spojrzał na Signoreta i rzekł:

„Teraz wymień mi mój przyjacielu, co sobie życzysz. Żądaj jakiéj łaski."

„Sire," — odpowiedział Signoret, przybierając dawną powagę — »zatrzymaj swoje łaski dla tych, którzy potrzebują być przekupywani łaskami, aby cię kochać."

„Jak Bóg żywy, pięknie powiedziano; lecz na koronę Francyi! nie wyjdziesz bez daru z Luwru. Chcesz być szlachcicem?"

»Nie, sire."

»Chcesz może wszystkie daniny wsi Fau mieć dla siebie?"

„Nie."

„Tamże do licha z twojémi „nie" i »nie"! Musisz koniecznie coś przyjąć."

»Ha, jeżli wasza król. mość koniecznie łaskę mi chcesz wyświadczyć, miałbym trzy prośby."

»Naprzód ci je przyrzekam."

„Po pierwsze, pozwól mi królu, abym mógł wino zbierać, kiedy mi się podoba."

»Gdyby wszyscy moi dworacy tobie podobni byli, pewniebym nie zubożał. Cóż daléj?"

»Daléj, sire, racz napisać tu na papiérze," — ozwał się Signoret z cicha — „aby, gdy dziki pola Signoreta pustoszyć będą, wolno mu było, ubić niekiedy dzika, nie lękając się szubienicy."

Henryk IVty napisał z uśmiechem, o co był uproszany.

»A po trzecie, sire, dołącz do swego podpisu, iż mię przyjacielem nazwałeś. Będę dumniejszym z tego, niż gdybym został szlachcicem, lub otrzy-

mał w darze to wszystko, coś mi wasza król. mość z balkonu tu pokazywał.«

»*Ventre saint gris!*« zawołał król, aż do łez rozczulony. »Signoret! Takiego jak ty człowieka nie widziałem jeszcze tu w tym pałacu. Bądź zdrów, mój przyjacielu; masz rozum i serce, jakich przyjaciołom królewskim potrzeba.«

Signoret wziął Henryka IVgo za rękę, uścisnął ją serdecznie, otarł sobie oczy, rozpiął trzy guziki u swojéj kapoty, i wyszedł z Luwru tak swobodnie i spokojnie, jakgdyby ze swego własnego domu. Wkrótce wrócił do Fau.

Przechodząc przez Montauban, doręczył seneszalowi list królewski. We trzy dni później zbiegła się cała ludność z okolic do Montauban, przypatrzyć się niezwykłéj uroczystości. Byłato świetna kawalkada, na któréj czele jechał sam pan seneszal z pięcioma burmistrzami, ubranemi w długie przepyszne szaty z czarnemi i czerwonemi rękawami; za nimi postępowało sześciu woźnych w czerwonych płaszczach, z niebieskiemi laskami o złotych lilijach w ręku — wszyscy wraz z niezliczonym ludem, prowadzili Signoreta śród nieustannego bicia w kotły, na ratusz montaubański.

Henryk IVty dotrzymał słowa: jego przyjaciel, chociaż kmieć prosty, burmistrzował mieszczanom z Montauban.

## Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 41szy i zawiera: 1) O produkcyi pszenicy w Europie, a w szczególe we Francyi. 2) Jak zapobiedz głodowi? 3) O tuczeniu bydła różnym karmem. (Dokończenie.) 4) Wiadomości handlowe.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* na miesiąc październik zawiera: 1) Przegląd tomu 3go »Zbioru ruskich latopisarzy, wydanego staraniem komissyi archeograficznéj« — przez Felixa Zielińskiego. 2) Hanna, powieść historyczna przez Edmunda Chojeckiego. Dokończenie. 3) Uwagi nad brukiem drewnianym londyńskim, przez St. Rutyńskiego. 4) Rzut oka na wystawę płodów przemysłu krajowego 1845go r., przez F. Miaskowskiego. 5) Wenecyja, rok 1843; przekład z francuzkiego. 6) Poezyje. 7) Kronika literacka. 8) Rozmaitości. 9) Kronika zagraniczna — biblijograﬁjna. — Doniesienia literackie. — Dostrzeżenia meteorologiczne.

---

Król Apolloński w okolicach powiatu Axim na zachodnio-afrykańskiém wybrzeżu, ma być nadzwyczajnie bogatym i potężnym. Podług doniesienia jego najbliższego ucywilizowanego sąsiada, to jest gubernatora z Axim, ma on dóm najpyszniéj w sposób europejski urządzony. U jego stołu jé się i pije tylko ze złotych talerzy i złotych kubków, a wszystkie inne naczynia i sprzęty są również kosztowne i wytworne. Oprócz tego posiada on wielkie skarby w sztabach lanego złota i złotym w tamtejszych rzekach napłukanym piasku. Gubernator z Dixcove donosi, iż przed cztérą laty towarzyszył angielskiéj wyprawie do Apollonii, do któréj Anglicy wciąż jeszcze prawa roszczą, chociaż sami jedyną swoję twierdzę w tym kraju opuścili. Podczas owéj wyprawy król Apolloński uciekł, a żołnierze angielscy rozbili grobowiec jego poprzednika i zabrali ztamtąd niewiadomą ilość złota. Później wydobyto na rozkaz gubernatora resztę złota z grobowca, gdzie jednak ledwie jeszcze kilkaset dolarów znaleziono. Wraz z skarbami zagrzebano także z królem wszystkie sprzęty, których on za życia używał; znaleziono nawet dwa żeńskie a dwa męzkie ciała, których kościotrupy pod sarkofagiem króla leżały. Przeszło 60 ludzi miało być przy pogrzebie króla zabitych, a nawet i wtedy dozwolono tylko najmożniejszym tak blisko przy królu być pochowanymi, aby mu w krainie duchów usługiwać mogli.

Piękność twarzy niewieściéj. Ze wszystkich części twarzy kobiécéj — nie mówiąc już o oczach — znajduje się najwięcéj wyrazu i wdzięku w ustach. Powinne one być małe i nie rozszérzać się bardzo za obwód nosa. Doskonała składność wymaga, ażeby warga niższa, była cokolwiek grubszą. Zagięcie wargi wierzchniéj, było dawnym artystom wzorem łuku miłości. Duże usta i grube wargi sprzeciwiają się bardzo piękności. Są one raczej znamieniem pociągu do życia pożywnego, niż do tkliwych uczuć serca. »Uważając usta,« — mówi sławny znawca plastyki starożytnéj, Winkelman — »ileż tam wyrazu jest zawarto! Zwierzchnia warga oznacza skłonności, upodobania, uczucia miłości. Pycha i gniew ją ściąga, chytrość zaostrza, dobroć zaokrągla. Również i czoło lubili Rzymianie bardzo wązkie. Dlatego nosiły ich kobiety opaski wokoło głowy. Medale i pieniądze, bite na cześć Safony, przedstawiają tę piękną Greczynkę z wązkiém czołem; a słodki Owidyjusz daje jéj przydomek *Fronte brevis*.

Wyprawa egipska przeciw dzikom i wilkom. Z Alexandryi donoszą o osobliwszéj wyprawie wojennéj, która wkrótce rozpoczętą zostanie. Od dnia 19go sierpnia łowią w całym Egipcie, na rozkaz wicekróla, wszystkie psy, jakie tylko dostrzeżone być mogą, i przystawiają je naczelnikowi policyi, agabasza, który za każdą sztukę po 10 parów ze skarbu publicznego wypłaca. Wszystkie te psy stanowią zaciąg wojenny, przeznaczony ku wytępieniu niezliczonych wilków i dzików, które w różnych okolicach Egiptu pola i trzody niesłychanie niszczą. Przeszło 600 tych walecznych wojowników wsadzono na okręty nilowe, aby je na pole sławy zawieźć. Sam agabasza ze swymi adjutantami kieruje osobiście wyprawą. Każdy, czyto brytan, czy legawiec, czy gończy, dostaje na dzień połowę zwykłéj porcyi egipskiego żołniérza, co przy tak ciężkiéj służbie, zbyt skąpą jest nagrodą, przezco biedne psy nie mało pochudną, a niejedno czułe serce w Europie zawoła: »Ach, jakie szczęście, że mój *ami* — moja *finetka* — nasz *joli* — nie jest w Egipcie!«

Pierwsze Europejki w Ameryce. Po zaludnieniu się północnéj Ameryki przez mnogich przedsiębierczych Anglików, panował tam powszechny niedostatek kobiét, aż wreszcie w r. 1620m. kasyjer stowarzyszenia wirgińskiego, p. Edward Sandy, uczynił wniosek, aby kilka okrętów z młodémi dziewczętami tam wyprawić. Wskutek tego wybrało się najprzód 90, a potém 60 uczciwych dziewcząt do Ameryki. Z początku kosztowała taka Europejka 100 funtów tytoniu, lecz późniéj, gdy liczba dziewiczych pielgrzymek się umniejszyła, podniosła się ich cena do 120 funtów tytoniu, czyli 40stu talarów. Ogłoszono nawet ustawę: iż dług należący się za żonę, przed wszelkiémi innemi długami pierwszeństwo miéć powinien, a zatém za najświętszy jest uważanym. Pewien amerykański pisarz z owych czasów donosi, iż to prawdziwą jest rozkoszą, widzieć jak młode chłopcy wirgińscy na wiadomość o przybyciu okrętu, wzdłuż wybrzeży morskich się rozbiegają, niosąc pod pachą ogromną pakę tytoniu, za którą sobie każdy — o raj-

skle czasy! — piękną, młodą, cnotliwą żonę mógł kupić. —

Żórawie. W ogrodzie botanicznym w Paryżu były dwa żurawie, samiec i samica, które się nadzwyczajnie czule kochały. Wreszcie pan żóraw umarł, a pani żórawica omało nie zginęła z żalu. Nie jadła, nie spała, i ciągle tylko jęczała. Nadaremnie starał się dozorca pocieszyć biedną wdowę, nic jej rozweselić nie mogło, chudła codziennie widoczniéj, a śmierć była tuż blisko. Wtém przyszła dozorcy szczęśliwa myśl do głowy: postawił tkliwéj samicy zwierciadło w klatce, a gdy ona w niem się ujrzała, zdało się jéj, iż widzi swego utraconego przyjaciela. To ją poniekąd pocieszyło; zaczęła znowu pokarm przyjmować, a teraz stoi po całych dniach przed zwierciadłem i wznawia sobie obraz owych szczęśliwych czasów, gdzie wzajemna miłość niczego jéj do życzenia nie pozostawiała.

Głowa kardynała Richelieu. Sławny kardynał i minister Richelieu kazał się w zbudowanéj przez siebie kaplicy Sorbonny pogrzebać, i tam téż dotąd stoi jego grobowiec. Wszakże leżącym tam jego zwłokom nie staje głowy. Gdzież ona się podziała? — Oto w czasach rewolucyi zburzył lud pomieniony grobowiec i oderwawszy głowę od ciała, zatknął ją na ostrzu lancy, którą w tryjumfie po ulicach niesi no. Niejaki pan Armez ocalił późniéj szczęśliwym trafem tę głowę, i nie chce jéj teraz wydać. Rząd domaga się jéj zwrócenia, rodzina Armez wzbrania się to uczynić, a tak powstanie prawdopodobnie proces o głowę kardynała-ministra.

Sposób robienia ostryg. Żyjemy w wieku cudów, a słówko »niepodobieństwo« straciło wszelkie znaczenie. W krótkim czasie będą wszyscy u siebie w domu, podobnie jak złote rybki, kanarki, trzymać także ostrygi, to jest małe gniazdo ostryg w wanience, z któréj sobie co rana sami ostryg na śniadanie łowić będą mogli. I nie jest to czcza bajka. Wszakże w poważnéj akademii umiejętności w Paryżu oświadczył niedawno niejaki pan Carbonnel, iż odkrył tajemnicę robienia ostryg. Bez żartu; pan Carbonnel robi ostrygi gdziekolwiek, kiedykolwiek, równie jak kto inny robi wino szampańskie. Nie potrzebuje do tego niczego więcéj jak tylko wanienki z wodą, którą natychmiast ostrygami napełnia. Oświadczył nawet gotowość utworzenia w obecności panów akademików kilkanaście par ostryg, na co też uczeni panowie byliby chętnie przystali, gdyby ich ta myśl nieco strachem nie była zdjęła, iż, jak pierwsi te cudowne ostrygi ujrzą, tak też pierwsi zjeść je będą musieli, a dla tego postanowili jeszcze trochę z wykonaniem zapowiedzianego cudu zaczekać, i pierwszą próbę w jednéj z sadzawek tuileryjskich przedsięwziąć; co też w tych dniach ma nastąpić, a skoro tylko pożądana wiadomość przybędzie, nie omieszkamy jéj naszym czytelnikom natychmiast oznajmić.

Studenci w Szwecyi, idąc na akademije, muszą wprzódy egzamin składać, a jeżli ten niepomyślnie wypadnie, bywają odsyłani nazad do gymnazyjów, których rektorowie za to naganę otrzymują. Będąc na akademii, bawią tam czasem długo, a czasem bardzo krótko Niekiedy udają się na lat kilka do domu, przerywają zupełnie nauki, a potém znowuż wracają. To trwa dopóty, dopóki nie złożą egzaminu, lub też i bez żadnego egzaminu w służbę publiczną się rzucą. Właściwych, urzędowych egzaminów nie masz potrzeby w Szwecyi, jakoż wielu z młodzieży uczy się tylko rok lub dwa lata, a reszty nabywa rutyną. W czasie pobytu na akademii łączą się uczniowie podług prowincyj, z których są rodem. Każda prowincyja ma swoje stowarzyszenie, swój dom osobny, zgromadzenia, porządek społeczeński, przełożonych, barwę właściwą — słowem, są to odrębne państwa w państwie, jakto po części i na niemieckich uniwersytetach się dzieje. O pojedynkach jednak nie ma tu ani słychu. Zdarzają się one niekiedy pomiędzy szlachtą i wojskowymi, lecz młodzież akademicka nie cierpi ich w swojém kole, gdzie właśni przełożeni wszelkie spory rozsądzają i godzą.

Towarzyskość Francuzów, która ten naród w każdéj stronie świata tak korzystnie cechuje, objawia się przy najpowszedniejszych okolicznościach, jak np. przy teraźniejszym przeglądzie wojska nad rzeką Gironde. Obozujący tam żołnierze utworzyli sobie miasto z namiotów, pozakładali ulice, i nadali każdéj osobną nazwę. Większa część nazew wzięta jest od afrykańskich pobojowisk, jedną poświęcono pięknym mieszkankom Bordeaux, reszta przypomina imiona rodziny królewskiéj. Na przyczołkach namiotów znajdują się zwykle różne napisy, wierszem i prozą, nawet jeden napis łaciński. Najbardziéj podobał się krótki i oryginalny napis, umieszczony pod popiersiem Ludwika Filipa, a wylęgły w głowie szeregowego grenadyjera: »Nr. 1. w Europie.«

Lekarstwo przeciw zarazie kartoflanéj. Listy z zagranicy donoszą o wynalezieniu tegoż lekarstwa, będącego jednym z najkosztowniejszych darów, jaki w obecnéj chwili tak ciężko niedostatkiem tego głównego pożywienia, a ztąd niechybnym głodem zagrożonéj ludności wiejskiéj, uczynić można. I tak czytamy z Koblencyi: »Profesor Kaufman z Bony, udziela swojemu tutejszemu przyjacielowi, doktorowi K. następnych postrzeżeń o panującéj teraz zarazie kartoflanéj: »Będąc niedawno w Hellandyi, zajmowałem się wiele zarazą kartoflaną, i mogę wreszcie zapewnić, iż nie tylko sposób leczenia chorych ziemniaków wynalazłem, lecz istotnie tę chorobę już wyleczałem. Sposobem tegoż leczenia jest osuszenie dotkniętéj zarazą części ziemniaka. Dotąd uskuteczniałem to suszeniem na powietrzu, kładąc kartofle na suchych, przewiewnych i ciepłych miejscach. Po niejakim czasie osycha bolejąca część owocu, bieleje, obleka się skórkowatą błonką i uchodzi tak na zawsze zgniliźnie, jakoteż dalszemu postępowi choroby. Teraz używam do leczenia jeszcze prościejszego środka, to jest piasku. Jedyną okolicznością, którą jeszcze bliżéj zbadać należy, jest stopień temperatury tegoż piasku. Zresztą jest ten środek zarówno ubogim jak i bogaczom przystępny, pojedyńczy i łatwy. Bliższych wiadomości w téj mierze wkrótce udzielę.«

Ostatnie głupstwo. Pewien wietrznik znudzony ciągłém trzpiotowatém życiem, postanowił raz temu tamę położyć i ożenił się. Gdy po ślubie wychodził z kościoła, nowo zaślubiona małżonka ozwała się do niego: »Spodziéwam się, panie mężu, że odtąd przestaniesz już bydź trzpiotem i zupełnie się ustatkujesz.« — »Tak jest, pani moja;« — odrzekł małżonek — »gdyż już ostatnie głupstwo popełniłem.«

**Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.**

**Drukiem Piotra Pillera.**